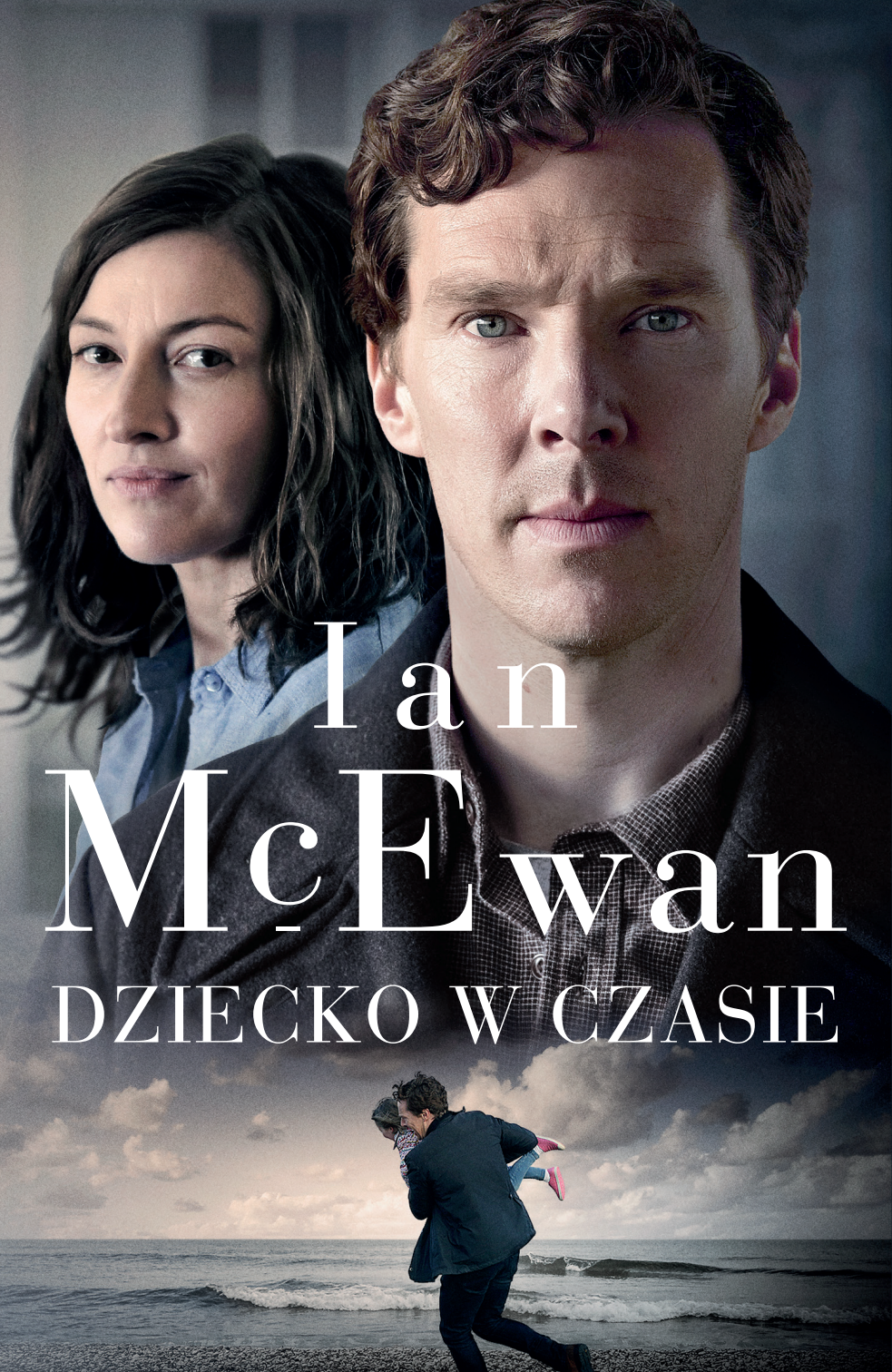
Ian
McEwan
DZIECKO W CZASIE

Jeden

> …oraz rodzicom zbyt długo wprowadzanym w błąd przez samozwańczych ekspertów od opieki nad dziećmi, prezentujących niezdrowy relatywizm…
>
> *Podręcznik opieki nad dzieckiem*, HMSO*

Dotowanie transportu publicznego od dawna kojarzyło się zarówno rządowi, jak i większości jego zwolenników z zaprzeczeniem wolności osobistej. Dwa razy dziennie w godzinach szczytu dochodziło do awarii rozmaitych środków komunikacji, i Stephen przekonał się, że do Whitehall szybciej można dotrzeć pieszo niż taksówką. Był koniec maja, ledwie wpół do dziesiątej, a temperatura już sięgała dwudziestu siedmiu stopni. Szedł szybko w kierunku Vauxhall Bridge, mijając podwójne i potrójne rzędy schwytanych w pułapkę warkoczących samochodów z samotnymi kierowcami w środku. Owo dążenie do wolności odbywało się w nastroju pogodzenia się z losem raczej niż zapalczywości. Zaobrączkowane palce cierpliwie bębniły po progach rozgrzanych dachów, kryjące się w białych rękawach łokcie wystawały z otwartych okien. Na kierownicach leżały rozłożone gazety. Stephen szybko przeciskał się przez tłum, przez napływające z odbiorników samochodowych fale czczej gadaniny: jednobrzmiących zgłosek, energicznych prezen-

---

* Her Majesty's Stationery Office – Wydawnictwo Administracji Państwowej.

terów porannej muzyki, wiadomości w skrócie, informacji o sytuacji na drogach. Kierowcy, którzy nie czytali gazet, słuchali w otępieniu. Stałe parcie tłumu na chodnikach dawało im zapewne poczucie względnego ruchu, powolnego dryfowania.

Poruszając się zrywami i klucząc przy wyprzedzaniu, Stephen, jak zawsze, niemal nieświadomie wypatrywał dzieci, pięcioletniej dziewczynki. Było to coś więcej niż zwyczaj, gdyż zwyczaj można zarzucić. Była to głęboka skłonność, piętno odciśnięte na jego charakterze przez doświadczenie. W zasadzie nie prowadził już poszukiwań, choć kiedyś, przez długi czas, czynił to wręcz obsesyjnie. Dwa lata później pozostały jedynie ślady tej obsesji. Teraz odczuwał tęsknotę, daremny głód. Zegar biologiczny, beznamiętny w niepowstrzymanym ruchu, pozwalał jego córce rosnąć, rozszerzał i urozmaicał jej słownictwo, dawał jej coraz większą siłę i pewność ruchów. Zegar ten, mocny jak serce, dotrzymywał słowa danego nieustającemu trybowi warunkowemu: dziewczynka rysowałaby, zaczynałaby czytać, traciłaby mleczne zęby. Byłaby domownikiem, którego obecność uważaliby za naturalną. Wydawało się, że mnożenie przykładów może zedrzeć ów tryb warunkowy, wątłą półprzezroczystą zasłonę, która oddzielała go od niej delikatnymi splotami czasu i przypadku; wróciła ze szkoły i jest zmęczona, jej ząbek leży pod poduszką, a ona szuka tatusia.

Każda pięcioletnia dziewczynka – choć chłopcy też się do tego nadawali – wypełniała treścią jej dalsze istnienie. W sklepach, na placach zabaw i w domach przyjaciół Stephen mimowolnie doszukiwał się Kate w innych dzieciach bądź zwracał uwagę na zachodzące w nich powolne zmiany oraz na ich rosnące umiejętności. Czuł również niewykorzystany potencjał tygodni i miesięcy, które powinna mieć dla siebie. Dorastanie Kate stało się istotą samego czasu. Jej złudny rozwój, owoc obsesyjnego żalu, był nie tylko nieunik-

niony – nic nie mogło zatrzymać nieubłaganego zegara – ale i niezbędny. Gdyby nie wyobrażenie, że córka nadal żyje, Stephen czułby się zagubiony, czas by się zatrzymał. Był ojcem niewidzialnego dziecka.

Jednak tu, na Millbank, spotykał jedynie byłe dzieci, wlokące się do pracy.

Dalej, tuż przed Parliament Square, zainstalowała się grupka licencjonowanych żebraków. Nie wolno im było żebrać w pobliżu parlamentu i Whitehall ani w żadnym innym miejscu widocznym z placu, lecz kilkoro z nich wykorzystywało to, że tam właśnie zbiegały się drogi zmierzających do pracy ludzi. Stephen widział ich jaskrawe odznaki z odległości paruset metrów. Pogoda im sprzyjała. Wyglądało na to, że niezależność dodaje jałmużnikom pewności siebie. Pracownicy najemni musieli im schodzić z drogi. Tuzin żebraków pracował po obu stronach jezdni, wytrwale posuwając się ku niemu pod prąd. Stephen obserwował jakąś dziewczynkę – tym razem chudą nastolatkę. Ona dostrzegła go już wcześniej. Szła wolno, lunatycznie, z przepisową czarną miseczką w wyciągniętej ręce. Strumień urzędników rozstępował się przed nią i na powrót skupiał. Dziewczyna utkwiła wzrok w Stephenie, który – jak zwykle – miał ambiwalentne uczucia. Dawanie pieniędzy zapewniało powodzenie programowi rządowemu. Niedawanie wymagało stanowczego zignorowania czyjejś nędzy. Sytuacja bez wyjścia. Sztuka złego rządzenia polega na zerwaniu więzi między porządkiem publicznym a najskrytszymi uczuciami, skłonnością do tego co słuszne. Obecnie zdawał się w tej kwestii na przypadek. Jeżeli miał drobne w kieszeni, dawał je. Jeżeli nie miał, nie dawał nic. Nigdy nie wręczał żebrakom banknotów.

Dziewczyna, ubrana w brudną żółtą sukienkę, miała brązową karnację od ciągłego przebywania na słońcu. Jej włosy były krótko ostrzyżone, pewnie po odwszawieniu. Gdy Stephen znalazł się bliżej, spostrzegł, że jest ładna, piegowata,

ma spiczasty podbródek i figlarny wyraz twarzy. Była niespełna sześć metrów od niego, gdy podbiegła i podniosła z chodnika kawałek jeszcze lśniącej gumy do żucia. Włożyła ją do ust i zaczęła żuć. Gdy znowu spojrzała w stronę Stephena, prowokująco odchyliła małą głowę.

Po chwili znalazła się przed nim, z miseczką z przydziału w dłoni. Zgodnie z żebraczym zwyczajem upatrzyła go sobie już wcześniej. Przerażony, sięgnął do tylnej kieszeni po banknot pięciofuntowy. Dziewczyna patrzyła obojętnie, jak kładzie go na monetach.

Gdy tylko odsunął rękę, wyjęła banknot z miseczki, zwinęła w cienki rulon i rzuciła:

– I tak jesteś chujem.

Gdy wymijała Stephena, ten mocno zacisnął dłoń na jej twardym, wąskim ramieniu.

– Co powiedziałaś?

Dziewczyna wyszarpnęła mu się. Zmrużyła oczy i odparła piskliwym głosem:

– Że bardzo panu dziękuję. – Znalazłszy się poza jego zasięgiem, dodała: – Bogaty gnój!

Stephen pokazał z łagodnym wyrzutem puste dłonie i uśmiechnął się, nie rozchylając warg, by dać do zrozumienia, że nie dotknęła go ta obelga. Ale dziewczyna podjęła już swój marsz w miarowym lunatycznym tempie. Przyglądał się jej przez chwilę, dopóki nie zginęła w tłumie. Nie obejrzała się więcej.

* * *

Urzędowa Komisja do spraw Opieki nad Dziećmi, przedmiot szczególnej troski premiera, utworzyła czternaście podkomisji, których zadaniem było opracowanie zaleceń dla organu nadrzędnego. Twierdzono cynicznie, że tak naprawdę mają one zaspokoić zasadniczo odmienne interesy niezliczonych grup: reprezentujących branżę cukrowniczą

i sieci barów szybkiej obsługi, przemysł odzieżowy, zabawkarski, wytwórców fajerwerków i mleka dla niemowląt, instytucje charytatywne, organizacje kobiece, grupę zwolenników przejść dla pieszych z ręcznie uruchamianą sygnalizacją świetlną – grup, które wywierały naciski ze wszystkich stron. Tylko nieliczne spośród kręgów opiniotwórczych odrzuciły propozycję współpracy. Powszechnie zgadzano się, że w kraju pełno jest ludzi niewłaściwego pokroju. W kwestii tego, co tworzy pożądane cechy obywatelskie i co należy czynić, by wykształcić je w przyszłości u dzieci, prezentowano bezkompromisowe poglądy. W podkomisjach znaleźli się wszyscy. Członkiem jednej z nich – wyłącznie dzięki wpływom swego przyjaciela Charlesa Darke'a, który zrezygnował tuż po tym, jak komisje rozpoczęły pracę – został nawet Stephen Lewis, autor książek dla dzieci. Podkomisja Stephena, pod przewodnictwem nadętego lorda Parmentera, zajmowała się czytaniem i pisaniem. Przez upalne miesiące ostatniego, jak się okazało, prawdziwego lata w XX wieku Stephen co tydzień uczestniczył w zebraniach w mrocznej sali Whitehall, w której planowano ponoć nocne naloty na Niemcy w 1944 roku. Dawniej miałby dużo do powiedzenia na temat czytania i pisania, ale w trakcie tych sesji zwykle opierał ręce na wielkim wypolerowanym stole, zastygał z pochyloną głową w pozie podyktowanego szacunkiem skupienia i milczał. Teraz sporo czasu spędzał sam. Wbrew jego nadziejom przebywanie w sali pełnej ludzi nie osłabiło w nim skłonności do introspekcji. Wzmogło ją wręcz i nadało jej ramy.

Rozmyślał głównie o żonie i córce oraz o tym, co ze sobą pocznie. Głowił się też nad przyczyną nagłego wycofania się Darke'a z życia politycznego. Przed sobą miał wysokie okno, przez które nawet w środku lata nie przenikało świat•ło słońca. Za oknem widniały prostokąty krótko przystrzyżonej trawy okalające dziedziniec, który mógł pomieścić kilka ministerialnych limuzyn. Niepełniący służby szoferzy

włóczyli się, palili papierosy i obojętnie spoglądali w stronę sali obrad. Stephen snuł wspomnienia i śnił na jawie o tym, co było i co mogłoby być. A może to on był wytworem wspomnień i snów? Niekiedy wygłaszał wyimaginowane przemowy, gorzkie i smutne akty oskarżenia, których szkice za każdym razem uważnie przeglądał. Tymczasem słuchał jednym uchem. Komisja podzieliła się na teoretyków, którzy już dawno wyrobili sobie pogląd na dyskutowany temat albo kazali wyrobić go dla nich innym, oraz pragmatyków, liczących na to, że odkryją własną opinię w chwili jej wypowiadania. Uprzejmość była wprawdzie wymuszona, ale nigdy nie przekraczano jej granic.

Lord Parmenter przewodniczył obradom komisji, wygłaszając zręczne banały, wskazując wybranych mówców zezowatym spojrzeniem głęboko osadzonych, pozbawionych rzęs oczu, unosząc lekką jak puch rękę, by stłumić emocje, i z rzadka składając oschłym i obojętnym głosem błazeńskie oświadczenia. Jedynie po ciemnym dwurzędowym garniturze można było poznać, że jego właściciel jest człowiekiem. Parmenter miał arystokratyczne podejście do komunału. Długą i zażartą dyskusję dotyczącą teorii rozwoju dziecka przerwała kiedyś jego doniosła uwaga: „Chłopcy zawsze będą chłopcami". W podobny sposób – jako kłopotliwe pewniki – prezentował opinie, że dzieci nie znoszą mydła i wody, szybko się uczą i zbyt szybko rosną. Parmenter był w swej banalności wzgardliwy, nie bał się pokazać, że jest dość ważny i silny, by się nie przejmować tym, jak głupie wydają się jego sądy. Nie musiał na nikim robić wrażenia. Nie zniżyłby się do tego, by być po prostu interesującym. Stephen nie miał wątpliwości, że lord jest bardzo inteligentnym człowiekiem.

Członkowie komisji nie uważali za konieczne poznawać się zbyt dobrze. Po zakończeniu długich posiedzeń, gdy już zgarnęli dokumenty i książki do teczek, nawiązywali uprzejme rozmowy, podtrzymywane na korytarzach i cichnące,

w miarę jak schodzili po spiralnych betonowych schodach i rozpraszali się na wielu poziomach podziemnego parkingu ministerstwa.

Przez całe duszne lato i późniejsze miesiące Stephen odbywał cotygodniową podróż do Whitehall. Poza tym jego życie było wolne od obowiązków. Niemal cały ten czas spędzał przed telewizorem, w bieliźnie, rozciągnięty na kanapie, popijając w ponurym nastroju czystą szkocką, czytając czasopisma od deski do deski lub oglądając transmisje z olimpiady. Wieczorami więcej pił. Posiłki jadał samotnie w pobliskiej restauracji. Nie próbował się kontaktować z przyjaciółmi. Nie odpowiadał na telefony rejestrowane przez automatyczną sekretarkę. Na brud w mieszkaniu oraz wielkie czarne muchy, niespiesznie odbywające swe patrole, przeważnie nie zwracał uwagi. Gdy przebywał poza domem, bał się powrotu w zabójcze szeregi znajomych przedmiotów, widoku przysadzistych foteli z brudnymi talerzami i starymi gazetami leżącymi obok. Rzeczy – sedes, pościel, brud na podłodze – z uporem zmawiały się, żeby tkwić właśnie tam, gdzie je zostawił. Również w domu Stephen nie mógł uciec od stałych tematów swoich rozmyślań: córki, żony i tego, co ma robić. Tutaj jednak brakowało mu skupienia, jakiego wymagał nieprzerwany tok myśli. Śnił na jawie chaotycznie, niemal bez udziału świadomości.

* * *

Członkowie podkomisji starali się być punktualni. Lord Parmenter zawsze przychodził ostatni. Gdy zasiadał na krześle, przywoływał zebranych do porządku cichym chrząknięciem, które zręcznie przeistaczał we wstęp. Sekretarz podkomisji Peter Canham siedział na prawo od lorda, na krześle odsuniętym od stołu – dla zaznaczenia swojego obiektywizmu. Od Stephena wymagano jedynie, żeby przez dwie i pół godziny stwarzał pozory czujności. Te ramy cza-

sowe pamiętał z czasów szkolnych, z setek, tysięcy godzin lekcyjnych, w których oddawał się rozmyślaniom. Sama sala też wyglądała znajomo. Nieobce były mu wyłączniki światła z brązowego bakelitu i przewody elektryczne w zakurzonych rurkach, przytwierdzonych bezceremonialnie do ściany. Sala do historii w jego szkole prezentowała się podobnie: takie same zniszczone i bardzo wygodne krzesła, taki sam długi poobijany stół, którego polerowaniem ktoś jeszcze zawracał sobie głowę, usypiająca mieszanka resztek majestatu i podupadłej biurokracji. Gdy Parmenter z uprzejmością pochlebcy przedstawiał ogólny zarys porannych prac, Stephen słyszał, jak jego nauczyciel monotonnym głosem z walijskim akcentem opiewa wspaniałości dworu Karola Wielkiego bądź przedstawia okresy upadku moralnego i odnowy średniowiecznego papiestwa. Przez okna nie widział otoczonego budynkami parkingu i prażących się w słońcu limuzyn, lecz – niczym z drugiego piętra – różany ogród, boiska, balustradę w szare cętki, za nią surowe ugory ginące wśród dębów i buków, a jeszcze dalej – rozległą połać odsłoniętego podczas odpływu przybrzeża oraz szeroką na prawie kilometr błękitną wstęgę rzeki. Utracony czas i utracony krajobraz – wrócił tam kiedyś i odkrył, że drzewa wycięto, ziemię zaorano, a przez ujście rzeki przerzucono most. A ponieważ utrata była stałym tematem jego rozmyślań, z łatwością przeniósł się w mroźny, słoneczny dzień przed supermarket w południowym Londynie. Trzymał córkę za rękę. Dziewczynka miała na szyi czerwony wełniany szalik, zrobiony na drutach przez matkę, i tuliła do piersi postrzępionego osiołka. Przesuwali się w stronę wejścia. Była sobota, panował tłok. Stephen trzymał ją mocno.

Parmenter skończył mówić i teraz jeden z akademików niepewnie dowodził zalet niedawno wynalezionego alfabetu fonetycznego. Dzięki niemu dzieci uczyłyby się czytać i pisać w młodszym wieku i z większą przyjemnością, to zaś

wróżyło łatwe przejście na zwykły alfabet. Stephen trzymał w dłoni ołówek, jakby zamierzał robić notatki. Marszczył czoło i lekko kiwał głową, trudno było jednak ocenić, czy na dowód zgody, czy niedowierzania.

Pączkujący język Kate i idee, które wyjaśniał, stanowiły źródło nękających ją koszmarów. Nie potrafiła ich opisać rodzicom, ale byli pewni, że zawierały elementy znane jej z bajek: gadającą rybę, wielką skałę z miastem w środku, samotnego potwora spragnionego miłości. Tej nocy koszmarom nie było końca. Julie musiała kilka razy wstawać do córki i udało się jej zasnąć dopiero dobrze po świcie. Stephen zrobił śniadanie i ubrał Kate. Mimo ciężkich nocnych przeżyć była pełna energii, bardzo chciała iść na zakupy i pojeździć w sklepowym wózku. Zaintrygowała ją piękna słoneczna pogoda, niezwykła w tak mroźny dzień. Przynajmniej raz pomagała siebie ubrać. Stała między jego udami, podczas gdy on naciągał jej na nogi ciepłą bieliznę. Ciało Kate było takie jędrne, takie nieskazitelne. Stephen podniósł córkę i wtulił twarz w jej brzuszek, udając, że ją gryzie. Skóra pachniała ciepłem pościeli i mlekiem. Kate piszczała i wiła się jak piskorz, a gdy postawił ją na ziemię, błagała, żeby zrobił to jeszcze raz.

Pozapinał guziki jej wełnianej koszuli, pomógł włożyć gruby sweter i zapiął szelki ogrodniczków. Mała zaczęła nucić jakąś nieokreśloną piosenkę, łączącą improwizację, dziecięce wierszyki i fragmenty kolęd. Stephen posadził córkę na krześle, włożył jej skarpetki i zasznurował buty. Gdy przed nią uklęknął, pogładziła go po włosach. Podobnie jak wiele innych małych dziewczynek była zabawnie opiekuńcza w stosunku do ojca. Zanim wyszli z mieszkania, dopilnowała, by pozapinał płaszcz po samą szyję.

Zaniósł Julie filiżankę herbaty. Leżała na wpół uśpiona, w pozycji embrionalnej. Powiedziała coś, co stłumiły poduszki. Wsunął rękę pod pościel i pomasował ją po krzyżu. Przekręciła się na plecy i przyciągnęła głowę Stephena do

piersi. Gdy się całowali, wyczuł w jej ustach mocny metaliczny smak głębokiego snu. Kate wciąż podśpiewywała za drzwiami sypialni. Przez chwilę miał ochotę zrezygnować z zakupów i posadzić ją z książkami przed telewizorem. Mógłby się wówczas wśliznąć pod ciężką kołdrę i położyć obok żony. Kochali się tuż po świcie, ale robili to sennie, bez przekonania. Julie pieściła go teraz, jego dylemat sprawiał jej przyjemność. Znowu ją pocałował.

Sześć lat małżeństwa było okresem powolnego przystosowywania się do kolidujących ze sobą reguł cielesnych rozkoszy, domowych obowiązków i potrzeby samotności. Zaniedbywanie jednej sfery prowadziło do zubożenia lub chaosu w pozostałych. Delikatnie ściskając w palcach sutek Julie, kalkulował. Przed południem, po przerywanej nocy i wyprawie na zakupy, Kate będzie potrzebowała snu. Wtedy mogliby mieć cały czas dla siebie. Później, podczas smutnych miesięcy i lat Stephen próbował powrócić do tamtej chwili, przekopać się przez pokłady zdarzeń, wpełznąć pod kołdrę i cofnąć swą decyzję. Jednak czas – niekoniecznie taki, jaki jest w rzeczywistości, bo tego nikt nie wie, lecz taki, jaki stworzyła ludzka myśl – uparcie nie pozwala skorzystać z drugiej szansy. Thelma, jego przyjaciółka, mawiała przy różnych okazjach, że nie ma czasu bezwzględnego, nie ma niezależnego istnienia. Jest jedynie nasze słabe i osobliwe rozumienie tych pojęć. Stephen odłożył przyjemność na później, poddał się presji obowiązku. Uścisnął dłoń żony i wstał. W korytarzu, głośno coś mówiąc i unosząc wytartego osiołka, podeszła do niego Kate. Stephen schylił się, by owinąć jej szyję czerwonym szalikiem. Dziewczynka wspięła się na palce, chcąc sprawdzić, czy zapiął guziki płaszcza. Trzymali się za ręce, zanim jeszcze przestąpili próg mieszkania.

Poczuli się tak, jakby wkroczyli w środek burzy. Główna ulica stanowiła trasę wylotową na południe, pojazdy pędziły po niej z szaloną prędkością. Mroźny i bezchmurny dzień

usuwał z obsesyjnych wspomnień cienie niedomówień, cynicznie dostarczał wszelkich szczegółów. Przy schodach leżała w słońcu puszka coca-coli, w której tkwiła, wciąż trójwymiarowa, słomka. Kate chciała ją uratować, ale Stephen nie pozwolił. Jakiś pies z marzycielsko uniesionym pyskiem załatwiał się, drżąc w przysiadzie pod drzewem, rozświetlonym jakby od wewnątrz. Był to strudzony życiem dąb, którego kora, z niezwykle błyszczącymi wybrzuszeniami i bruzdami skrytymi w nieprzeniknionym cieniu, sprawiała wrażenie świeżo wyrzeźbionej.

Od supermarketu dzielił ich dwuminutowy spacer. W pobliżu zebry, przed którą czekali, by przejść przez czteropasmową jezdnię, znajdował się salon sprzedaży motocykli, miejsce spotkań motocyklistów z całego świata. Brzuchaci mężczyźni w wytartych skórach opierali się o nieruchome maszyny lub siedzieli na nich okrakiem. Gdy Kate wyciągnęła z ust kłykieć i pokazała na nich, nisko zawieszone słońce oświetliło parujący palec. Nie znalazła jednak słowa na opisanie tego, co widzi. Wreszcie przeszli na drugą stronę ulicy przed niecierpliwą sforą samochodów, które warcząc, ruszyły naprzód w chwili, gdy oboje dotarli do wysepki pośrodku jezdni. Kate wypatrywała pani z lizakami, tej, co zawsze ją rozpoznawała. Stephen wyjaśnił, że jest sobota. Gdy posuwali się w tłumie w stronę wejścia, mocno trzymał ją za rękę. W zgiełku głosów, nawoływań i elektromechanicznego brzęku kas znaleźli wózek. Kate uśmiechała się od ucha do ucha, siadając wygodnie na swoim miejscu.

Ludzie robiący zakupy w supermarkecie dzielili się na dwie grupy, odmienne niczym plemiona lub narody. Pierwsi mieszkali w zmodernizowanych, położonych tarasowato domach z epoki wiktoriańskiej, które były ich własnością. Drudzy – w wieżowcach i osiedlach komunalnych. Ci z pierwszej grupy kupowali zwykle świeże owoce i warzywa, ciemne pieczywo, kawę ziarnistą, świeże ryby ze specjalne-

go stoiska, wino i wódki, natomiast z drugiej – puszkowane lub mrożone warzywa, pieczoną fasolę, zupy błyskawiczne, cukier biały, babeczki, piwo, wódki i papierosy. Do drugiej grupy należeli emeryci kupujący mięso dla swoich kotów i suchary dla siebie. A także młode matki z papierosami w mocno zaciśniętych ustach, wymizerowane ze zmęczenia, które czasem nie wytrzymywały przy kasie i dawały dziecku klapsa. W skład pierwszej grupy wchodziły efektownie ubrane młode bezdzietne małżeństwa, którym najwyżej brakowało czasu. Były także matki robiące zakupy z opiekunkami do dziecka oraz ojcowie, tacy jak kupujący świeżego łososia Stephen, którzy robili to, co do nich należało.

Co jeszcze kupił? Pastę do zębów, serwetki, płyn do mycia naczyń, najlepszy bekon, udziec barani, stek, zieloną i czerwoną paprykę, rzodkiew, ziemniaki, folię aluminiową oraz litr szkockiej. A kto znajdował się w pobliżu, gdy sięgał po te artykuły? Kto szedł jego śladem, gdy pchał wózek z Kate między stertami towarów, kto przystawał w odległości paru kroków, gdy się zatrzymywał, kto udawał zainteresowanie treścią etykiety, a potem dalej ruszał za nim? Stephen wracał tam setki razy, widział własną rękę, półkę, widział, jak przybywa towarów w wózku, słyszał szczebiocząca Kate i starał się przesunąć wzrok, unieść go pod ciężarem czasu, znaleźć tę osłoniętą postać na skraju pola widzenia, człowieka, który stale znajdował się gdzieś z boku, lekko cofnięty, który – przepełniony dziwną żądzą – obliczał szanse lub po prostu czekał. Jednak czas na zawsze zatrzymał spojrzenie Stephena na jego doczesnych sprawunkach, a wokół dryfowały i rozwiewały się niewyraźne, nieokreślone kształty.

Kwadrans później znaleźli się przy kasach. Było osiem równoległych stanowisk. Stephen dołączył do krótkiej kolejki najbliższej drzwi, gdyż wiedział, że dziewczyna przy tej kasie szybko pracuje. Gdy zatrzymał wózek, stały przed nim trzy osoby, a kiedy się obrócił, by podnieść Kate z sio-

dełka, nie widział za sobą nikogo. Dziewczynka dobrze się bawiła i nie chciała, żeby jej przeszkadzał. Zaczęła jęczeć i zaczepiła stopą o siodełko. Musiał ją wysoko podnieść. Wydostając Kate z wózka, z ledwie uświadamianym zadowoleniem zauważył, że jest rozdrażniona – była to nieomylna oznaka zmęczenia. Zanim ten drobny incydent się skończył, w kolejce przed nimi znajdowały się dwie osoby, z których jedna odchodziła od kasy. Stephen stanął z przodu wózka, żeby wyładować zakupy na taśmociąg. Kate trzymała gruby drążek z drugiej strony, udając, że pcha wózek. Nikt za nią nie stał. Klient stojący tuż przed Stephenem, mężczyzna o zgarbionych plecach, miał właśnie zapłacić za kilka puszek karmy dla psów. Stephen przeniósł pierwsze artykuły na taśmę. Gdy się prostował, uświadomił sobie chyba obecność postaci w ciemnym płaszczu za Kate. Trudno jednak nazwać to świadomością, było to raczej błahe podejrzenie, ożywione rozpaczliwym wspomnieniem. Płaszcz mógł być równie dobrze sukienką lub torbą na zakupy albo jego wymysłem. Stephen był pochłonięty zwykłymi czynnościami kupującego, zależało mu na tym, by mieć je z głowy. Należał raczej do istot rozkojarzonych.

Mężczyzna z karmą dla psów odchodził od kasy. Kasjerka przystąpiła już do pracy, palcami jednej ręki błyskawicznie wystukując ceny na klawiaturze, a drugą przyciągając do siebie zakupy. Gdy Stephen wyjmował łososia z wózka, zerknął na Kate i mrugnął do niej. Mrugnęła w odpowiedzi, lecz zrobiła to niezdarnie, marszcząc nos i zamykając obie powieki. Położył rybę na taśmie i poprosił dziewczynę o torbę. Wyciągnęła jedną spod półki. Wziął torbę i odwrócił się. Kate zniknęła. W kolejce za nim nie było nikogo. Niespiesznie odepchnął wózek, sądząc, że schowała się za ladą. Potem zrobił kilka kroków i zajrzał w głąb jedynego przejścia między półkami, do którego zdążyłaby dotrzeć. Cofnął się i popatrzył w lewo i w prawo. Po jednej stronie

zobaczył kolejki kupujących, po drugiej – pustą przestrzeń, a za nią chromowany kołowrót i automatycznie rozsuwane drzwi prowadzące na zewnątrz. Być może uciekał tamtędy człowiek w płaszczu, ale w tym czasie Stephen szukał trzyletniego dziecka i bał się, że mała wpadnie pod samochód.

Był to lęk teoretyczny, wynikający z ostrożności. Gdy przecisnął się przez tłum kupujących i wydostał na szeroki chodnik, wiedział już, że nie zobaczy tam córki. Kate nie była tak śmiała. Nie chodziła samopas. Wolała towarzystwo osoby, z którą przebywała. Poza tym panicznie bała się ruchu ulicznego. Stephen odwrócił się i odprężył. Musiała być w sklepie, a tam nie mogło jej się przytrafić żadne nieszczęście. Liczył na to, że zobaczy, jak wychodzi zza którejś z kolejek przy kasach. W pierwszym przebłysku zaniepokojenia dość łatwo było przeoczyć dziecko w tłumie, patrzeć zbyt usilnie, zbyt szybko prześlizgiwać się wzrokiem. Mimo to wracał z uczuciem nudności i ściśniętym gardłem, nogi niosły go nieprzyjemnie lekko. Kiedy mijał kolejno wszystkie kasy, nie zważając na kasjerkę, która wcześniej go obsługiwała, a teraz nerwowo starała się przyciągnąć jego uwagę, przez żołądek przebiegł mu dreszcz. Panując nad sobą – wtedy jeszcze potrafił przejmować się tym, jak idiotycznie wygląda – przebiegł między wszystkimi półkami, obok gór pomarańczy, rolek papieru toaletowego i puszek z zupami. Dopiero gdy znalazł się z powrotem w punkcie wyjścia, zrezygnował z przestrzegania nakazów przyzwoitości, napełnił powietrzem ściśnięte płuca i wykrzyknął imię córki.

Przebył całe przejście dużymi ciężkimi krokami, raz po raz krzycząc „Kate!", i znowu skierował się ku drzwiom. Ludzie obracali się do niego. Nie można było go wziąć za jednego z pijaków, którzy wtaczali się do sklepu, żeby kupić jabłecznik. Jego strach był zbyt widoczny, zbyt silny, wypełniał bezosobową fluoryzującą przestrzeń ludzkim uniesieniem, którego nie mogli zignorować. W ciągu paru

chwil zakupy ustały. Odstawiono koszyki i wózki, ludzie się gromadzili z imieniem zaginionej na ustach i niebawem wszyscy wiedzieli, że ma trzy latka, że ostatnio widziano ją przy kasie, że jest ubrana w zielone ogrodniczki i nosi miniaturowego osiołka. Twarze matek stały się napięte i czujne. Kilka osób widziało małą dziewczynkę jeżdżącą na wózku. Ktoś pamiętał, w jakim kolorze był jej sweter. Okazało się, jak niewielka jest anonimowość klientów miejskiego sklepu, tworząca cienki pancerz, zza którego ludzie obserwują, osądzają i zapamiętują. Grupa kupujących zebranych wokół Stephena ruszyła w stronę drzwi. U jego boku szła kasjerka o twarzy stężałej w wyrazie niezłomnej determinacji. Pojawili się inni członkowie hierarchii sklepowej w brązowych i białych fartuchach oraz w niebieskich garniturach, którzy nagle przestali być magazynierami, zastępcami kierowników lub przedstawicielami firmy i przeistoczyli się w potencjalnych bądź prawdziwych ojców. Wszyscy stali teraz na chodniku przed sklepem. Niektórzy tłoczyli się wokół Stephena, zadając mu pytania lub go pocieszając, podczas gdy inni, z większym pożytkiem, wyruszyli w różnych kierunkach, by zajrzeć do pobliskich sklepów.

Zaginione dziecko stało się własnością wszystkich. Lecz Stephen był samotny. Patrzył niewidzącymi oczyma na życzliwe twarze ludzi wciskających się w pole jego widzenia. Ich obecność była niestosowna. Ich głosy nie docierały do niego, utrudniali mu obserwację. Przesłaniali mu widok Kate. Musiał przepłynąć wśród nich, odepchnąć, żeby się do niej dostać. Brakowało mu powietrza, nie mógł myśleć. Słyszał, jak sam wypowiada słowo „porwana", podchwycone i przekazywane przechodniom, których zwabiło zamieszanie. Wysoka dziewczyna o zręcznych palcach, sprawiająca wrażenie tak silnej, płakała. Stephen zdążył poczuć chwilowe rozczarowanie jej słabością. Przy krawężniku, jakby wezwany wypowiedzianym przezeń słowem, zatrzy-

mał się obryzgany błotem biały policyjny radiowóz. Oficjalne potwierdzenie nieszczęścia przyprawiło go o mdłości. Zgiął się wpół. Być może zwymiotował, ale nie pamiętał tego. Chwilę później znowu był w sklepie. Tym razem o doborze ludzi u jego boku zadecydowały zasady porządku społecznego: został kierownik, młoda kobieta, która mogła być jego asystentką, zastępca kierownika i dwaj policjanci. Nagle zrobiło się cicho.

Zmierzali szybkim krokiem w głąb rozległego sklepu. Dopiero po dłuższej chwili Stephen zdał sobie sprawę, że jest prowadzony, zamiast prowadzić. Ze sklepu wyproszono już klientów. Przez okno z prawej strony ujrzał jeszcze jednego policjanta, otoczonego przez kupujących i zapisującego ich spostrzeżenia. Kierownik sklepu pospiesznie wyrzucał z siebie słowa, po części snując hipotezy, po części narzekając. Dziewczynka – zna jej imię, pomyślał Stephen, ale jego stanowisko nie pozwala mu go używać – dziewczynka mogła zawędrować do strefy przeładunkowej. Powinni byli pomyśleć najpierw o tym. Drzwi chłodni czasem pozostawiano otwarte, mimo że często czynił swoim podwładnym wymówki z tego powodu.

Przyspieszyli kroku. Ktoś mówił niezrozumiale, krótkimi seriami słów przez policyjne radio. Obok działu serów przeszli do strefy, gdzie projektanci odrzucili wszelkie pozory: płytki z PCW na podłodze ustąpiły miejsca betonowej wylewce, w której iskrzyły się zimnym blaskiem kryształki miki, a światło docierało z nagich żarówek zwisających z niewidocznego wysokiego sufitu. Przed górą spłaszczonych kartonowych pudeł stał wózek widłowy. Przestąpiwszy brudną kałużę mleka, kierownik spieszył ku otwartym na oścież drzwiom chłodni.

Weszli za nim do niskiego, wąskiego pomieszczenia, w którym dwa przejścia ciągnące się między półkami niknęły w półmroku. Na biegnących wzdłuż ścian półkach stały

nierówno sterty puszek i pudeł, a pośrodku wisiały na hakach ogromne sztuki mięsa. Grupka podzieliła się na dwie części i ruszyła w głąb chłodni. Stephen szedł z policjantami. Zimne i suche powietrze wnikało do nozdrzy i pozostawiało w ustach smak zmrożonej cyny. Kroczyli powoli, zaglądając za pudła. Jeden z policjantów zapytał, jak długo można tu wytrzymać. Przez szczeliny w mięsnej kotarze Stephen dostrzegł, że kierownik zerka na podwładnego. Młody mężczyzna odchrząknął i taktownie odparł, że osobie zamkniętej w chłodni nic nie grozi, o ile pozostaje w stałym ruchu. Z jego ust wydobywały się kłęby pary. Stephen wiedział, że gdyby znaleźli tu Kate, byłaby już martwa, lecz ulga, którą poczuł, gdy obie grupy spotkały się na drugim końcu chłodni, była czysto abstrakcyjna. Z premedytacją stał się bezstronny. Jeżeli miała się znaleźć, to ją znajdą, gdyż on był nastawiony wyłącznie na prowadzenie poszukiwań; jeżeli nie miała się znaleźć, to z czasem musiałby stawić temu czoło w racjonalny sposób. Ale nie teraz.

Po wyjściu z chłodni znaleźli się w strefie złudnego tropikalnego ciepła; ruszyli do biura kierownika. Policjanci wyjęli notesy i Stephen przedstawił swoją wersję wydarzeń, przekonującą zarówno formą, jak i dbałością o szczegóły. Tak zdystansował się od własnych uczuć, że znajdował przyjemność w zwięzłym i umiejętnym porządkowaniu istotnych faktów. Obserwował siebie i widział człowieka pod presją, zachowującego się z podziwu godnym opanowaniem. W drobiazgowym opisie ubrania córki i dokładnym portretowaniu jej twarzy potrafił zapomnieć o samej Kate. Podziwiał również to, jak wytrwale policjanci zadawali rutynowe pytania, zachwycał się olejowo-skórzanym zapachem ich lśniących kabur. Oni i on byli ludźmi zjednoczonymi w obliczu niewymownych trudności. Jeden z policjantów przekazał opis Kate przez radio i usłyszeli zniekształconą odpowiedź z radiowozu patrolowego krążącego w sąsiedztwie. Wszystko to

działało bardzo uspokajająco. Stephen wkraczał w stan bliski uniesienia. Asystentka kierownika przemawiała do niego z troską, która w jego odczuciu była całkowicie zbędna. Ściskała ramię Stephena i nalegała, by wypił herbatę, którą mu przyniosła. Kierownik stał tuż za progiem swego biura i skarżył się podwładnemu, że supermarkety są ulubionym terenem działania porywaczy dzieci. Asystentka szybko zatrzasnęła nogą drzwi. Nagły ruch uwolnił zapach perfum z zakładek jej stonowanego kostiumu i sprawił, że Stephen pomyślał o Julie. Stanął w obliczu mroku, który nadciągał z głębi jego świadomości. Chwycił za oparcie krzesła i czekał, pozwalając, by pustka wypełniła mu umysł. Gdy poczuł, że odzyskał panowanie nad sobą, wstał. Przesłuchanie dobiegło końca. Policjanci odkładali notesy i również podnosili się z krzeseł. Asystentka zaproponowała, że odprowadzi go do domu, ale Stephen energicznie pokręcił głową.

Niemal zaraz potem, nie pamiętając żadnych wydarzeń łączących obie te chwile, stał przed supermarketem i wraz z sześcioma innymi klientami sklepu czekał przy przejściu dla pieszych. W ręce trzymał torbę z zakupami. Przypomniał sobie, że nie zapłacił za nie. Łosoś i folia aluminiowa były prezentem, odszkodowaniem od firmy. Jadące pojazdy zwolniły niechętnie i zatrzymały się. Przeszedł na drugą stronę ulicy. Starał się jakoś przełknąć zniewagę normalności otaczającego go świata. Zrozumiał, jak dziecinnie prosta jest ta sytuacja: poszedł z córką na zakupy, zgubił ją i teraz wraca, żeby powiedzieć o tym żonie. Motocykliści pozostali na miejscu, podobnie jak – nieco dalej – puszka coca-coli ze słomką. Nawet pies przechadzał się pod tym samym drzewem. Na schodach Stephen przystanął przy uszkodzonym stopniu. W jego uszach rozbrzmiewała głośna, niesamowita muzyka, orkiestrowe dzwonienie, którego dysharmonia znikła, tam stał, trzymając się poręczy, i pojawiła się znowu w chwili, gdy ruszył dalej.